

grudzień z poetami chodzi po kołędzie



Ten świąteczny numer „Wsi Tworzącej”, dodatku literackiego do „Powiatu Słupskiego” skłania do refleksji. Czas Bożego Narodzenia to czas podsumowań, rachunków sumienia, a także czas snucia planów na przyszłość.

Mijający rok 2007 wiejscy poeci skupieni przy słupskim starostwie mogą uznać za bardzo owocny. Niewątpliwie najważniejszym dla nich wydarzeniem było wydanie piątej już, a więc jubileuszowej, antologii poezji pt. „Aleja tęsknot”. Książka została bardzo pochlebnie przyjęta nie tylko przez Czytelników, także przez krytyków. Była omawiana w prasie codziennej i literackiej, prezentowana w telewizji i na antenie radia. Na ostatnim zjeździe Związku Literatów Polskich w Warszawie wzbudziła momentami zdrowe uczucie zazdrości, że w małym, powiatowym Słupsku tak dba się o wiejskich i początkujących poetów, a w niektórych momentach tzw. warszawka może tylko o czymś takim pomarzyć. I wydaje się antologii i tomiki na wysokim, literackim i edytorskim poziomie. Starostwo słupskie w niepisanym, ogólnopolskim rankingu młodoliterackim jest stawiane wręcz za wzór mecenatu samorządowego. I nie są to przechwałki, mogą to potwierdzić koledzy i koleżanki zza miedzy, owego przysłowiowego rzutu beretem, czyli z Koszalina i okolic. Dlatego tak chętnie przyjeżdżają raz w miesiącu do siedziby słupskiego starostwa na „Wtorkowe Spotkania Literackie”. Systematycznie publikują na łamach dodatku oraz we wspomnianych antologiach. Zresztą nie tylko oni, bo teksty z całej Polski nadchodzą do Zbyszka Babiarsza-Zycha, niestrudzonego pomysłodawcy i opiekuna wiejskich poetów przez

cały rok. W ciągu ponad sześciu lat istnienia grupy, która już rozrosła się do ponad sześćdziesięciu stałych i aktywnych członków, do Zbyszka trafiło około 10 tysięcy wierszy.

„Aleja tęsknot”, licząca 340 stron zawiera wiersze 51 autorów - wiejskich poetów z całej Polski. Tegoroczna została świadomie „okrojona” do właśnie tylu stron, a poprzednie miały blisko 500, bo zaczęła się niebezpiecznie rozrastać. Gdyby nie samodyscyplina, to mało brakowało, by buch miał ponad tysiąc stron. Jednak nie ilość a jakość się liczy i to antologii, w opinii krytyków, wyszło na dobre.

Oprócz pracy zbiorowej, czyli „Alej tęsknot” ukazało się kilka indywidualnych książek członków „Wtorkowych Spotkań Literackich”. Rewelacyjnie został przyjęty tomik poezji Jerzego Fryckowskiego - poety z Dębicy Kaszubskiej pt. „Kiedyś nas uspią”. Głównym sponsorem było właśnie starostwo słupskie. Bardzo pochlebnych recenzji było sporo, przytoczę tylko jedną - Rafała Jaworskiego z Tych, który (na łamach też „Wsi Tworzącej”) pyta: - uspią, ale czy „zbudzą grzeczniej”? Warto także nadmienić, że Fryckowski wydał w tym samym czasie antologię poezji wigilijnej pt. „Słowa bielsze od śniegu”, a recenzowali ten tom Hanna Fogiel z Olsztyna, Marcin Gre-



czuk z Widzina czy wspomniany Rafał Jaworski z Tych.

Wypada koniecznie przypomnieć, że dzięki starostwu słupskiemu, a głównie dzięki osobistemu zaangażowaniu Zbyszka Babiarsza-Zycha został wydany pośmiertnie tom, spuścizna literacka tragicznie zmarłej, trzynastoletniej Nicol Zawłockiej z gminy Słupsk. Tomik został zatytułowany „Ból, czyli Historia Pani Kaliny, Dorota i inne opowiadania”.

Przysłowiowym rzutem na taśmę mijającego, 2007 roku, a pisząc z humorem - prezentem pod choinkę dla autorów jest wydanie dwóch kolejnych tomów poezji członków Grupy. Maciej Michalski ze Słupska debiutuje pokazną książką, jak na poezję, pt. „Wiosłami czas odmierzam”, a Emilia Zimnicka z Izbicy wydaje już drugą pt. „Szmargdowe oko świata”. Nie tylko z racji tego, że wraz ze Zbyszkim redagowaliśmy te tomiki, a z przeświadczenia poetyckiego śmiałem mniemać, że wspomniane woluminy będą hitami literackimi, przynajmniej na naszym, słupskim rynku wydawniczym. Czego autorom, członkom Grupy życzę w nadchodzącym, 2008 roku z całego serca.

Przyznam, że lubię czytać wszelkiego rodzaju miesięczniki czy tygodniki literackie po wielu latach. W chwilach chandry sięgam po „Literaturę na świecie”, „Poezję” czy „Nowy Wyraz” sprzed trzydziestu lat. Robię to nie tylko z przyjemnością, także z pewnym wyrachowaniem. Bo właśnie czas jest najlepszym cenzorem wartości uniwersalnych, właśnie po latach mogę uznać czy stwierdzić, który wiersz czy esej jest naprawdę dobry i nie zdewaluował go zab czas. Po tym poznaje się prawdziwą ze sztukę. Tak też zrobiłem z pięcioma numerami „Wsi Tworzącej” z 2007 roku (ten będzie szósty), choć cezura czasowa to tylko rok.

Kilka tekstów utkwiło mi głęboko w pamięci. „Człowiek posiadający umiejętności rozpoznawania Boga w drugim człowieku czyni nas lepszymi” - napisał Klemens Rudowski z Domu Pomocy Społecznej w Lubuczewie w grudniowo-styczniowym wydaniu „WT” w tekście pt. „Boże Narodzenie to najdoskonalszy prezent dla ludzi”. Dopiero teraz, czytając po raz kolejny teksty Rudowskiego zrozumiałem, jakie trafne są jego przemyślenia. Pisząc o Cezarym Wosinku, także z Lubuczewa, w teście pt. „Radość jest smutna” konkluduje - „Czuję się jak błazen z obrazu Matejki, którego radość jest smutna”. W „Życiu złamanym” Klemens pisze o poecie, muzyku i astronomie Emilu Pakulnickim z Ustki, który aktualnie przebywa w Domu Pomocy Społecznej w Lubuczewie. Te kilka słów sprawiło mi wiele radości, gdyż Emila poznałem ponad trzydzieści pięć lat temu. Najpierw byłem pod wrażeniem muzyki, jaką grał wraz z zespołem „74 Grupa Biednych”, którego to był pomysłodawcą nazwy i założycielem. Bliżej poznałem go jako poetę, a na spotkanie do Korespondencyjnego Klubu Młodych Pisarzy w Słupsku przywiózł go nieżyjący już, wybitny literat z Ustki - Leszek Bakula. Na temat sztuki, literatury, astronomii czy gwiazd przegadaliśmy wiele wieczorów. Imponował mi, wówczas szesnastoletniemu gówniarzowi, ogromną wiedzą. Szkoda tylko, że popadł w chorobę. Ale wiersze do dzisiaj pisze naprawdę dobre.

Henryka Jurałowicz – Kurzydło Słupsk

POBOŻNE ŻYCZENIA

*Grudzień zmroził grudy ziemi
Wicher goni płaty śniegu
Wśród tych wichrów i zamieci
Ktoś choinkę z lasu niesie
Dzwon już na Pasterkę woła
Lud się garmie do kościoła
Anioł śmiga na saneczkach
Nad Stajenką lśni gwiazdeczka
W żłóbku kwili Boże Dziecię
Może zmiany nam przyniesie
Oj za małyś Ty Panie
Na nasze dzisiejsze kłopoty
Chociaż mała nasza wioska
Jest w niej dużo do roboty
Trzeba pomóc gospodarzom
Bo już sami nie poradzą
Bezrobotnym dać robotę
Starszym do życia ochotę
Pijącym zmniejszyć pragnienie
Grzesznikom zapewnić zbawienie
Młodym też by coś się zdało
Bo im wszystkiego wciąż mało
Więc musisz trochę podrosnąć
Mój mały Panie Boże
Bo na te kłopoty dzisiaj
Nam wiele nie pomożesz*

Jako znakomity krytyk dał się poznać Marcin Greczuk, nauczyciel z Widzina, którego dotychczas znałem jako poetę. W „Chorych mitach i błędnych przekonaniach” (o poezji Edwarda Stachury) Greczuk twierdzi, że „od przełomu lat 70. i 80. „przekonanie”, że wszystko jest poezją stało się mitem, wielce szkodliwym”. Swoją konkluzję autor tak uzasadnia – „celem poety nie było utwierdzanie grafomanów w chorym „przekonaniu”, że ich „dzieła” są poezją...” „Poetą się jest, a nie bywa” - przekomarza się w innym tekście Grzegorz Chwieduk z Kępicy, pisząc o konkursach literackich. Do zamyślenia zmusza także Greczuka esej „O roli poety i poezji” z okazji 20. rocznicy śmierci Anny Kamieńskiej (1920-1986). Jego analiza wiersza Kamieńskiej pt. „Rozterka Kasandry”, pochodząca z pośmiertnej antologii najbardziej osobistych wierszy poetki „Anna Kamieńska, Inne miejsca”, wydanej w Poznaniu w 1986 r. jest wysokiego lotu. Poznałem panią Annę na początku lat siedemdziesiątych na jednym z konkursów poetyckich im. Jana Śpiewaka w Świdwinie. Z pokorą muszę się przyznać, że byłem wtedy zbyt młody, czy bardziej za bardzo zbuntowany i nie rozumiałem jej głęboko przejmujących wierszy.

„To była potworna zbrodnia” - pisze Emilia Zimnicka o Katyniu. Natomiast recenzję z filmu „Katyn”, dość osobistą

i wnikliwą napisała Aldona Peplińska z Motarzyna twierdząc, że to film ważny i potrzebny.

Wiejscy poeci nie „kisili” się we własnym sosie spotykając się w ulubionej, bocznej salce w słupskim starostwie. Prezentowali się, i to z dobrym skutkiem, a raczej odbiorem Czytelników na zewnątrz. Najważniejszą imprezą był „III Powiatowy Plener Literacki i Prezentację Artystyczne Poetów”. Na plener zaprosiła Rada Sołecka i Koło Gospodyń Wiejskich z Żochowa oraz Gminny Ośrodek Kultury w Potęgowie. Oczywiście stało się to za sprawą niezrównanego organizatora i wyśmienitego animatora kultury Mieczysława Krymskiego i jego żony Marii. Warto podkreślić, że Mieczysław jest znakomitym poetą, członkiem Grupy - jak napisał Z. Babiarski-Zych w „Lato lubi poetów”.

Najbardziej wzruszającym momentem dla wiejskich poetów był wyjazd z Żochowa do Łupawy, a ściślej mówiąc do kościoła w tej miejscowości. W kościele z zabytkową, barokową amboną i drewnianą chrzcielnicą twórców przyjął miejscowy proboszcz, Ryszard Czernecki. A proboszczem jest w Łupawie już dwadzieścia sześć lat. Przypomnił historię kościoła, a także Łupawy, która miała kiedyś prawa miejskie.

Przyznam, że nie lubię, kiedy na spotkaniach w starostwie poeci czytają wiersze religijne, o Bogu, o wierze. A inni przeplatają to tekstami o miłości, rozterkach dnia codziennego. Momentami budzi to mój lekki niesmak. Jednak dopiero w kościele, gdzie cisza i unoszący się pył wieków i dostojęstwa, powagi sprawia wrażenie, że właśnie w tym miejscu wiersze o Jezusie, religijnych świątach czy własnych przeżyciach związanych z wiarą brzmią wyjątkowo. Ołtarz sprawia, że słowa recytowane zapadają głęboko nie tylko w pamięć, także w serce. Nie była to pierwsza recytacja, bo wcześniej wiejscy poeci czytali podobne wiersze w kościele w Osowie.

Nieco wcześniej, bo 31 maja 2007 roku Grupa odwiedziła Kępice i Warcino. A to z okazji Powiatowych Obchodów Dnia Działacza Kultury. Cieszy fakt, że „naczelstwo” starostwa słupskiego doceniło tak zwaną pracę u podstaw, dodajmy - pracę na niwie kultury wiejskich poetów i kilkunastu z nich uhonorowało nagrodami pieniężnymi oraz dyplomami.

Jednak najważniejszą imprezą wyjazdową była ta w Damnicy. Czyli już VI Powiatowe Spotkania z Poezją /Nie/ Profesjonalną, na której autorom wręczono piąty tom antologii „Aleja tęsknot”. Do sali lustrzanej zabytkowego pałacu Ośrodka Szkolno-Wychowawczego w Damnicy zjechało ponad 300 osób z całej Polski, co w pozytywnym znaczeniu przerosło oczekiwania organizatorów. Zgodnie z tradycją prawie osiemdziesięcioletni Jan Jagielski, poeta wiejski z Za-

kowane. Przyznam, że za to bardzo go cenię, mimo czasami niepochlebnych o jego pisaniu opinii. Walczy o Polskę, wszak na uchodźstwie był ponad trzynaście lat i wie, z czym się ten gorzki chleb je. Jednak po czasie, po weryfikacji historycznych faktów okazuje się, że miał sporo racji, tak jak było w przypadku Saddama Husajna. Bo to on pierwszy zanegował, że w Iraku była broń masowego rażenia, w tym chemiczna. I co? Do dzisiaj Amerykanie nic nie znaleźli, a zginęło tylu młodych Polaków... Czekam tylko na zapowiadane nowe tomy wierszy Zygmunta.

Zbyszek Babiarz-Zych jako redaktor prowadzący bardzo dbał, by w dodatku ukazywały się tzw. debiuty poetyckie, a jeżeli już jakiś autor miał prezentację w rodzinnej miejscowości lub miejscowych publikatorach nazywał to - po raz pierwszy na łamach „Wsi. Tworzącej”.



górzycy przyjechał rowerem, a jego rówieśnica (wiekowo). Krystyna Gierszewska-Dubik z Wolina pod Szczecinem była transportowana przez rodzinę kilkoma samochodami. Specjalnie z Londynu samolotem przyleciała jedna z najmłodszych poetek - Anna Maria Różańska.

A wracając do zamieszczonych we „Wsi Tworzącej” recenzji. Zamieszczono ich wiele. Nie można wymienić ich wszystkich, jednak główne to recenzje tomiku Henryki Jurałowicz, wydanego pod koniec 2006 roku pt. „Księżyc kładzie garść światła”. Były bardzo pochlebne, a najrzetelniej napisali Zygmunt Jan Prusiński i Zbigniew Babiarz-Zych. O zasięgu „WT” świadczy także fakt, że recenzje dotyczące poprzednich almanachów Grupy, czyli „Może otulę jesień” i „Wiersze jak chabry w pszenicznym łanie” napływały nie tylko z całej Polski, ale z dalekiej Australii. Napisał je (i zostały opublikowane) Andrzej Pokropiński z „Pulsu Polonii” w Australii. Fakt, że w swoich dywagacjach bardzo pochlebnie wyraził się o twórczości Prusińskiego, poety z Ustki.

A przy okazji to właśnie Zygmunt był najbardziej rozpisany autorem dodatku. Jego felietony na aktualne tematy, szkoda tylko, że najczęściej polityczne, były najczęściej dru-

Na łamach „Wsi” debiutowała Oliwia Bartuś z Ustki, studentka II roku politologii w Gdańsku, wokalistka hardrokowego zespołu „Arshenic”, Anna Idźkowska ze Słupska, absolwentka PAP (Słupsk), czy „skaleczona światłem uroku” Natalia Piepka ze Stowięcina. Późno zadebiutował Piotr Grygiel z Jasienia koło Bytowa, który „Ziemskie miłości chce lepiej umiłować”, a także Andrzej Szczepanik z Bytowa. Kolejna debiutantka - Patrycja Humska chodzi dopiero do VI klasy Szkoły Podstawowej w Łupawie, Mieczysław Szejder z Bytowa ma 18 lat. Podobny wiek ma Sandra Tyrek z Drzeżewa. Nieco starsza jest Bożena Kosicka ze wsi Krężołki.

Nieźródnany w swoich humoreskach jest Lechośław Cierniak ze Słupska. Jego opowieści o Fredzie i kumplach zasługują na publikację książkową. Autor szuka sponsorów na wydanie książki, a wszelkie sygnały na niebie i ziemi wskazują, że takowi się znajdują. Proza jest dobra, Lechu został w 2007 roku członkiem Związku Literatów Polskich jako pierwszy z członków Grupy, a poza tym promuje Słupsk i okolice. Jego angielski humor upoważnia do promocji takiego grajdołka, jakim jest Słupsk w Unii Europejskiej.

Mirośław Kościeński, Słupsk



kiedy wiednie róża

Od kilkunastu lat znam wzdychania i westchnienia moich znajomych poetów, by zdobyć laur konkursu „Czerwonej Róży”. I nie ma się co dziwić. Tradycja – 48 lat. Szacowny gród Gdańsk, znakomite jury, legendy opowiadane przez bywalców minionych edycji.

tęgowania dramatu wyniki od końca.

Dwa wyróżnienia honorowe. Laureatów nie ma. Ale jak mają być, skoro honor polega na dyplomie, a z Krakowa jest daleko, bilet prawie stówę kosztuje. Po jednym wierszu laureatów honorowych odczytał artysta plastik, zresztą wielce zasłużony.

Potem jestem ja, jako trzeci, nie ma drugiej (Ela Galoch), mijaliśmy się z Elą tej jesieni na wszelkich konkursach. Niestety, w trakcie jesiennej winobrania odszedł Ojciec Eli i to odebrało radość także jej przyjaciółom.

Laureat pierwszej nagrody też się zjawił, wszak jest gdańszczaninem. Przeczytaliśmy po wierszu, główny laureat trzy, ja niestety tylko jeden z powodu beznadziejnego oświecenia.

Lampka wina, można było skromny almanaszk kupić za piątkę wrzucając ją do słoiczka postawionego w widocznym miejscu. Dwa złote kosztował egzemplarz „Autografu”, pewnie z tego powodu, że jest dotowany albo dlatego, że jeszcze nie drukował laureatów. W mojej szkole taki słoiczek stoi z okazji smutnej – śmierci kogoś z rodziny naszych pracowników. Też wtedy wrzucamy po piątce lub dwójce. Mam nadzieję, że to skojarzenie nie uśmierci „Autografu”.

I po imprezie. Bałem się, że mogę się nie wyrobić na SKM, ale bez problemu. Mały wywiad i do domu. Konkurs poetycki z prawie półwieczną tradycją nikogo w Gdańsku już nie interesuje. Był jeden senator z PO, ale nie wiem, czy w ramach minionej kampanii czy własnej promocji. Nazwisko mało poetyckie – Grzyb. Zwiastuje jednak długowieczność. Gdzie ja do senatora, nawet gadać ze mną nie chciał. On poeta – senator, ja wiejski nauczyciel, laureat tylko 350 konkursów. I tu specjalnie wspominam ilość laurów, bo to mały jubileusz, a zależało mi, by nagroda była znacząca. Nie chciałem, by to był Nowy Sącz czy jakaś inna pipidówka.

Jubileusz na „Czerwonej Róży”. I pięknie. Tak się stało. Dostałem kilkanaście maili od znajomych poetów z zazdrośnymi, ale serdecznymi gratulacjami, bo wszyscy wiemy, że różę możemy sobie wpisać do notek i każdy o nią walczy.

Teraz jednak sam sobie zadaję pytanie. Szanuję wysiłek ludzi, którzy ten konkurs pielęgnują i ocalili go po różnych zawirowaniach naszej pięknej historii. Jest jednak kilka „ale”. Byłem osobiście na ponad dwustu imprezach, więc chyba mam prawo się w tej kwestii wypowiedzieć i wiem, jak imprezy wyglądają.

Znajomi wiedzą, że próbowałem kilkanaście razy, może nawet ponad dwadzieścia. I zawsze byli lepsi. Przynajmniej w oczach jury. W tym roku dostałem zaszczytu. Jestem trzeci. Informowano mnie telefonicznie, nic na papierze, jak się to nieładnie mówi, nie miałem.

Znajomi zaczęli zazdrościć, gratulować, odgrażać się na przyszłe lata. Tak, każdy polski poeta chciałby w swoim CV mieć ten konkurs „odfajkowany”. Sam tego chciałem i byłem ciekaw aury. Miałem co prawda swoje niedobre podejrzenia (byłem na ponad dwustu podobnych imprezach), ale świadomie chciałem się mylić.

Spóźnienie, wiadomo, tradycja, kaprys gwiazd – jurorów, nawet walka o frekwencję. Patrzę po sali, jest tragicznie. Czterdziesta ósma edycja, na sali 25 osób, czekamy, dochodzimy do 32. Przykre, ale większość to plastycy. Gdańskie Towarzystwo Przyjaciół Sztuki to współczesne dinozaury. Naprawdę. Czułem się jak na tajnym spotkaniu Chryścijan dwa tysiące temu, nawet gorzej. Nie wiem dlaczego, ale skojarzyłem to z Serbami Łużyckimi z czasów NRD.

Przemawiał za tym wiek ludzi zgromadzonych na sali, jakaś dziwna, tajemna celebrowanie. Przytakiwano sobie głowami, dziwiono się obecnością młodych. Wreszcie ogłoszenie wyników. Spełnienie snów młodych poetów, koszmar, kiedy nadzieje trzeba odłożyć na lata przyszłe. Oczywiście dla po-

Po pierwsze jury – to jest to zakłamanie „po pierwsze”. Bo laureata nie obchodzi, kto mu dał kasę. Oczywiście są wyjątki, czasami zwracamy na to uwagę. Ja osobiście szanuję Brylla, czasami Sliwonika, szanuję każdy (nawet zły dla mnie) werdykt Maliszewskiego, laur Barana i Ziemiańskiego biorę w ciemno i zawsze, Zdzisia Łączkowskiego (ale jak piszę Zdzisia, to każdy myśli, że po znajomości). Problem w tym, że tylko Różewicz i Szymborska nie są moimi znajomymi. Tak więc każde jury jest do przyjęcia.

Sprawa druga – wysokość nagrody. I tu jest chyba największa przykrość dla laureatów. Czterdziesta ósma edycja to znaczy, że można się czegoś spodziewać. I ze smutkiem stwierdzam, że byle powiacik płaci więcej za wiersz o swoim patronie. A jednak poeci kochają „Czerwoną Różę”. Wiele skromnych konkursów daje laureatom nocleg (Boguszów - Gorce, Lębork, Świdwin).

Kolejny argument – poeci to także renciści i emeryci. Zwrot kosztów podróży dostaną na pewno w Świdwinie i Lęborku.

Może nie jestem przez wielu uznawany za poetę, ale nie można mi odmówić znajomości imprez i ich klasy. Pod tym względem Świdwin i Lębork już dawno wyprzedziły „Czerwoną Różę”. Świdwin ma ponad 30. laureatów i tylko jedna osoba nie jest znana w świecie poetyckim. „Róża” jest temu bliska, ale umiera. Myślę, że tylko poeci utrzymują ją przy życiu. Ponad 360 zestawów, to jest dobry wynik i szacunek

tych, którzy piszą wiersze. Wiele innych imprez płaci lepiej, ale my, poeci chcemy wygrać „Różę”.

Martwi mnie brak zainteresowania władz Gdańska. I jeszcze jedno. Niestety, dotyczy to wszystkich konkursów poetyckich w Polsce, na wszelkich imprezach towarzyszących nie ma klas licealnych. To znaczy nie ma żadnych klas, ale o licealne się upominam. Wiem, że panie polonistki tłumaczą młodzieży, że najlepsi poeci już nie żyją, ale bez przesady. Jak można współpracować ze szkołami pokazując warsztaty organizowane w Piszku przez Wojciecha Kassa i Krzysztofa Kuczkowskiego. Przez też bardzo wybrednych jurorów, czego większość poetów w Polsce doświadczyła.

Tak. Może trochę odjechałem od ogrodu różanego. Kłaniam się nisko tym wszystkim, którzy ocalili konkurs „Czerwonej Róży”. Bo wiem, ile to kosztuje, ale świat odjechał. Lampka wina to za mało, podatków się nie zabiera poniżej 760 zł (niby banalne), ale to też dowód znajomości przepisów podatkowych. I na koniec mała refleksja. Czy zostanę ukarany za prawdę i już nigdy nie będę laureatem „Róży” (a marzę o jej wygranym), czy organizatorzy (jednak to od władz miasta zależy) sprawią, że „Róża” na swoje pięćdziesięciolecie zgromadzi pod jednym dachem kwiat polskiej poezji i o mnie nie zapomni?

Jeśli wygra ktoś, kogo znam, będę szczęśliwy.

Jerzy Frykowski
Dębica Kaszubska

strefa uczuć, moralności i etyki

Często zastanawiam się nad definicją słowa „poeta”. Właściwie poetami są według mnie także ludzie czytający utwory uwznioślające stany emocjonalne, tj. lirykę, epikę i dramat. Potęgować i wspomagać nasze postrzeganie świata mogą też wieloznaczne i korelacyjne doświadczenia każdej przeżywanej chwili.

Inspirować może głos, dźwięk, kolor, spojrzenie, jakieś zachwycające zdarzenie. Zdolność zauroczenia się jednym szczegółem, myślą, obrazem, muzyką, wiedzą, człowiekiem i jego osobowością – powoduje marzenie utożsamienia się z tym zjawiskiem, niewymiernym i osobiwym. To marzenie pobudza nasze próby dorównania zdolnościom geniuszowi „nienormalnego”, bo nadwrażliwego postrzegania przeżywanej chwili i późniejszej refleksji. Wtedy właśnie bywamy artystami, stajemy się lka-

Moim kryterium wyboru nie jest nazwisko, ale wiersz, w którym szacunek do słowa jest nadrzędny. Przepadam, więc za poezją, z której emanuje prawda, że „...na początku było słowo”. Jeśli zapomina się o tej „alchemii słowa” to z wiersza pozostają tylko... „słowa, słowa, słowa”.



rami uduchowionymi, ludźmi szczęśliwymi w swym egzystencjalnym upadku.

Stanisław Lem uważał, że „...i z marzeń można zrobić konfitury. Potrzebne są tylko owoce i cukier”. Tymi produktami są dla mnie wiedza i zdolność przeżywania. Smutną jednak prawdą jest świadomość, że nie można dać komuś czegoś, czego się nie ma! Pomijając już sferę wrażliwości, którego źródłem jest cierpienie, tak że chęć podświadomej potrzeby naprawiania zła – ucieczka w twórczość jakkolwiek, jest formą artystyczną utrwalania wartości marzeń.

Próbując przekonać siebie, że moja „radość jest smutna”, udowadniam to następującą dedukcją mojej świadomości: stan wiedzy to określenie stanu niewie-



dzy. Jeśli wiem, czego nie wiem, to wiem - ile wiem. Szukanie prawdy jest jedynym warunkiem godnego kreowania tzw. sztuk pięknych.

Czuł się wyróżniony zaproszeniami na spotkania z poezją większą chciałbym przedstawić (od strony warsztatowej) moje „widzenie” piękna w wierszu. Przede wszystkim nie jestem zwolennikiem publicznie uznawanych autorytetów, które po kilku sezonach politycznych idą w niepamięć, często niezasłużenie. Moim kryterium wyboru nie jest nazwisko, ale wiersz, w którym szacunek do słowa jest nadrzędny. Przepadam, więc za poezją, z której emanuje prawda, że „...na początku było słowo”. Jeśli zapomina się o tej „alchemii słowa” to z wiersza pozostają tylko „...słowa, słowa, słowa”.

Moja wiara w „alchemię słowa” ułatwi mi dobór lektury i poziomu ekscytacji „rozumienia” poezji. Szacunek do wartości wyższych, takich jak: Bóg, Honor, Ojczyzna – nie powinny być nadużywane. Należy mieć do nich stosunek starotestamentowy. Najpiękniejsze dla mnie wiersze to te, w których ani razu poeta nie użyje tych pojęć jako słów. Odmienianie przez wszystkie przypadki na przykład słowo „miłość” w jednym tylko wierszu, degraduje to uczucie, a także wartość artystyczną poetyckiej wypowiedzi.

Uczestnicząc w autorskich prezentacjach poetów naszego regionu, przyznając z przyjemnością ich liczny udział i chęć bycia razem w poszukiwaniu „prawdy poetyckiej”. Czyni to z nas „istotę moralną”, a nie tylko – ekonomiczną. Poszerza to naszą wolność, kształtuje świat kultury. Stajemy się „stworcą” samego siebie, ponieważ doznania estetyczne i etyczne traktujemy w kategoriach życiowej potrzeby. To jakiś ekwiwalent, zadośćuczynienie za cud przeżywania tego świata niepojętego. Ta potrzeba pobudzania „sennych mechanizmów” naszej psychiki, podkreśla naszą indywidualność, odrębność i swoistość każdego doświadczenia.

Wróćmy jednak do naszych spotkań. Owe warsztatowe i przyjazne konfrontacje „iskrzyły” czasem wątpliwościami

dotyczącymi definicji plagiatu. Uważam, na dobrą sprawę, że wszystko jest plagiatem i to nie tylko w twórczości. Nasze jednostkowe istnienie wynika z plagiatu DNA. Powielamy więc cudze życie często o tym nie wiedząc. Tak więc: od „Witaj” do „Zegnaj”, zachowania nasze zdeterminowane są czasem, w którym żyjemy. (Wszystko ma podłoże nie tylko biologiczne, nie tylko historyczne. Jest też jednostkowym przypadkiem.) Tylko nasza autentyczność pozwoli nam istnieć prawdziwie.

Świeżość naszego odkrycia, czy twórczego zdumienia – choć wszystko już było – nie może być kojarzona z plagiatem. Picasso mawiał: „Ja nie szukam, ja znajduję”. Zdolność piękniejszego postrzegania świata, to nie plagiat. To – poezja! Miejmy nadal odwagę tak postrzegać życie. I... „Tak nam dopomóż Bóg”. (To co było, to co jest i to co będzie – to bezsprzeczny i konieczny związek.)

Niektóre wiersze poświęcone były osobom zmarłym, których pamięć ofiarowały strofy poetyckie. W zabiegu tym kryje się jednak pułapka. Opiewanie bliskiej uczuciowo osoby ową „poetycką rzeźbą” – w niektórych zamierzeniach – sprowadza się do roli cokołu, na który to (jeszcze za życia) usiłuje wejść żyjący. Tak też bywa. Ja oczekuję od ludzi świadectwa życia, a nie świadectwa zgonu. Wyjątek dla mnie stanowi genialnie ujęta recenzja – pointa L Staffa na wiadomość o śmierci B. Leśmiana:

„...Na pustej drodze leży dzban rozbity,
Z którego napój cenny wsiąka w ziemię,
A nigdzie choćby jednych ust spragnionych”.

Partnerstwo i dyskretny mecenat ze strony Starostwa Powiatowego, szczególna troska pana Zbigniewa Babiarza-Zycha, którego życzliwość odczuwamy zawsze – wszyscy razem wnosimy godny udział w życie estetyczne i kulturowe naszego powiatu.

Klemens Rudowski
Lubuczewo

matka stefka millera

UCZYŁ SIĘ NA KSIĘGOWEGO, A WYRÓSŁ NA POETĘ



W „Głosie Potęgowa” przeczytała o projekcie tablicy pamiątkowej na domu. Zapytała mnie o to. Płakała. Co jeszcze ktoś pamięta o jej synku?

Ma osiemdziesiąt siedem lat. Pobrużdżona twarz, poora-na głębokimi zmarszczkami, przenikliwe spojrzenie wpatrują-ce się wprost w rozmówcę. Nie jest to łagodny, pobłażliwy wzrok, ale to surowe, taksujące podejrzliwie spoglądanie na drugiego człowieka.

Usta wąskie zaciśnięte, na głowie nieodłączna włóczko-wa przepaska, ponad którą sterczą kosmyki siwych, prostych włosów. To matka Stefana, nieżyjącego poety, założyciela i pierwszego redaktora „Głosu Potęgowa”. Żyje samotnie w po-pegeerowskim czworaku. Pochowała już męża, syna i córkę.

Z nieodłączną szmacianą torbą wychodzi rano po zaku-py. Nie spieszy się, bo i dokąd. Postoi to w jednym sklepie, to w drugim, sycąc się obecnością ludzi. Nie zawsze ma odpow-iadni nastrój, by nawiązać rozmowę, bywa też, że zagada, zapyta o coś.

„Millerowa - dziwaczka” żyjąca od kilkunastu lat samot-

nie, nie za bardzo lubi ludzi i ich towarzystwo. Latem zbiera jagody w lesie i odnosi je na skup („po co ona się tak męczy”- „sknera jedna”- „ma wysoką emeryturę”- „na co jej tyle forsy”, - szepczą ludzie, ale nikt nie zapyta jej wprost). A ona w lesie, z dala od luda, nie spiesząc się, jagódka po jagódce, jak paciorki różańca, wrzuca do wiaderka. Wokół niej cisza, w górze ptaki i wiatr. Sama mówi, że to czas modlitwy i wspo-mnień - obcowania ze zmarłymi, rozliczania się ze sobą. Lubi leśną samotność w przeciwieństwie do samotności w domu. W lesie wspomnienia mniej bołą.

Młodość, która przypadła na czas okupacji i trudne lat powojenne, nie należała do najradośniejszych. Ponura rze-czywistość szybko zagłuszyła wrodzoną radość i umiejętność beztroskiego śmiechu. Bo i z czego tu się było śmiać i cie-szyć? Starość też nie lepsza: najbliżsi odeszli przedwcześnie. Wnuczka i prawnuczka to zbyt odległe pokolenie, by więzi były bliskie.

Całe życie ciężko przepracowała w pegeerze, użerając się z codziennymi troskami. Mąż nie zapewnił rodzinie wy-starczającego wsparcia. Nauczyła się liczyć tylko na siebie i na to, co sama wypracuje, zaoszczędzi i odłoży. Jakoś dawała sobie radę, zawzięta, uparta i pracowita: cały etat w pegeerze, po godzinach - plewienie buraków, jagody w lesie, na podwó-reczku kury, kaczkę, a w chlewiku świnka, za domem duży ogród warzywny. I tak od roboty do roboty i liczenie każdej



złotóweczki. Ale dzięki temu umożliwiła dzieciom zdobycie odpowiedniego wykształcenia i realizację własnych planów, nie prosząc o pomoc nikogo. Nie potrafiła jednak wytworzyć w domu wystarczająco głębokich więzi emocjonalnych. Dzieci bardzo szybko opuściły dom rodzinny i wyprowadziły się do miasta; w zasadzie już po ukończeniu szkoły podstawowej zamieszkały w internatach, a po szkole nie wrócili do domu rodzinnego. Odwiedzały tylko matkę, a ona dawała pieniądze i zaopatrywała w co bądź.

Sama wspomina, że bardzo szybko kontakt emocjonalny z dziećmi się urwał: nie rozumiała ich marzeń, aspiracji. A już Stefan ze swoją wrażliwością był dla niej całkowitą zagadką. Ciągłe coś pisał. Najpierw czytał jej swoje teksty. Cekał na wstępną opinię - nie rozumiała, więc nie mówiła. Przestał. Przynosił gazety z wydrukowanymi wierszami, kazał jej czytać, wreszcie bez słowa zostawiał na stole. Czasami czytała pod jego nieobecność. Ukradkiem. Dumą napawała ją obecność nazwiska: to mój syn, to jego drukują. Nie miała z kim dzielić się dumą. Pokazywała sąsiadom. Wiersze? A kto je czyta? Nikt z sąsiadów. Dla nich to też niezrozumiałe pisanie było. Owszem, patrzono na Stefana, chłopaka z podwórka z pewną dozą podziwu, ale i obcości: patrzcie, uczył się na

księgowego i do „pegieera” nie wrócił (wtedy jeszcze wracano ze szkół do rodzinnej miejscowości i raczej podejmowano pracę w rodzimym zakładzie)! I jeszcze pisze do gazety!

Tę inność Stefka najbardziej odczuła matka, której nie szczędzono uwag, często kąśliwych. Więc zamknęła się w sobie już całkowicie. Nie chwaliła się, nie pokazywała tomików, gazet. Kiedy przyjeżdżał do domu, chudy, zmęczony, podsuwała mu jedzenie - najedz się, nie dbasz o jedzenie, jesteś taki chudy. Może jesteś chory? Nic o pisaniu, o pracy, tylko o jedzeniu i zdrowiu. A kiedy jadł podsunęte smakołyki, ukradkiem przyglądała się i słuchała, co mówił. Czasami próbowała też coś powiedzieć. Kończyło się to najczęściej nieporozumieniem i wyjazdem Stefka. W takich sytuacjach i ona czuła, że wszystko jest nie tak, ale nie potrafiła inaczej. Zabrakło jej wiedzy, umiejętności słuchania, może zwyczajnej cierpliwości?

Stefan nie żyje. W szufladzie są wszystkie jego „papiery”. Czasami otwiera tę szufladę usiłując czytać i zrozumieć. Potem daje na mszę i głośno modli się w kościele. Żal jej wszystkich nie odbytych i niedokończonych rozmów z synem.

Teresa Nowak
Łupawa

Zastużone sztandary w literaturze



Czy mam prawo pisać o jubileuszu 10-lecia „AKANTU” na rynku prasowym? Na początku trochę przyjaźniłem się z redaktorem Stefanem Pastuszewskim, który opublikował kilka moich tekstów. Później przeniósł się do partyjnego biuletynu „Świadectwo”.

Redaktor S. Pastuszewski, oprócz wszelkich ruchów na terytorium literackim, angażuje się też na politycznym terenie. W tym „Świadectwie” też wydrukował kilka moich wierszy, ale dla mnie takie zapisy nie mają znaczenia. Bo i dlaczego

„Otwartość i stałość”. Czy taka otwartość była? Nie wniosem pewnie nic nowego, ale zawsze przy periodykach powstają „wysepki” towarzyskie, zawsze znajdują się takie stałe bandery, które kotwiczą wkoło zatoczki, jak takie „satelitki”...

mają mieć? Jeśli były polityczne, to tym bardziej powinny znaleźć się w „Akancie”. Nie znalazły się tam, więc coś się pomiędzy nami „rozlało”. Jeszcze Stefan opublikował mój szkic w związku z Wisławą Szymborską – Rottermund i na nim skończyła się nasza literacka przygoda.

Przyglądam się jubileuszowej obwolucie „Akantu”. Na drugiej stronie Joanna Pydniak drukuje wypracowanie pt.

wiersze najnowsze

Czesława Długoszek, Objazda

WIGILIJNY WIECZÓR

Nawet praktyczne sójki
Porzuciwszy zbieranie
Opadłych dawno żółędzi
Ze zdziwienia zamilkły.
I cisza
Tylko mak trzeszczy w makutrze.
Gwiazda - ta z Betlejem -
Mruga porozumiewawczo,
Droge gości
Niebiańskim światłem.
A ja, pasterz nierozgarnięty,
Nawet do góry nie spojrzałam,
Bo tu - pod nosem -
Tak mi się zdało -
Cały świat miałam.

Henryka Jurałowicz-Kurzydło
Słupsk

WIGILIA

W jedyną grudniową mroźną noc
Niebo otwiera się nad ziemią
I chociaż nikt tego nie widzi
I nawet specjalnie nie słyszy
Duch wielkiej miłości duch Boży
Do prostych ludzi z nieba schodzi
A wtedy żal i opuszczenie
Mamota i beżsilność wielka
Chociaż na kilka chwil odchodzą
Stół i obrus bielą lśni śnieżną
Blask choinki i opłatek
Oczy matek łzami zachodzą
A dłonie w geście pojednania
Otwierają serc zatrząśnięte drzwi
By miłość w nie weszła na zawsze

PRZEMIJANIE

W chaosie nie kończących się spraw
W beżmiarze gwaru miasta
Przywołuję pod powieki
Łany pachnących pól
Słyszę melodię trzciny jeziornych
Jak śpiewają odwieczną pieśń
Przywołując duchy zatopionych marzeń
Dziwię się obłokom na niebie
Że tak szybko odpływają zachodem
Stary księżyc ma nadzieję
Że je powstrzyma
Pająki tkają sieci mijającego czasu
Wiatr wspomnień zrywa je
W obłąkanym tańcu

A jego podmuch niesie
Zapach łąk o świtanu

Elżbieta Gagiew, Darłowo

WIGILIE 2007

Cóż pierwsza
gwiazdka gdy
pod obrusem białym
jak zaśnieżone pola
tęsknota gdy
na talerzu samotność
przetłamana opłatkiem

szeregi pustych krzeseł
nie czekających
na nikogo
i kruche bombki
odbijające twarze
dzieci tułających się
po świecie

Teresa Nowak, Łupawa

I ZNOWU JESIEŃ

I znowu jesień nad Łupawą.
W ogołoconych już konarach
Beztrósko hula wiatr.

A na trawnikach nowy dywan
w magiczną podróż nas zabiera
i nową plecie baśń.

I znowu smutek rządzi polem,
Smagana deszczem biegnie rozpacz.
Promienna radość w wartki rzeki nurt
Z samego rana już wskoczyła.
I ominąwszy warkocze wodorostów,
Pomknęła gdzieś w nieznana dal.

Mijają dni
ubrane w łachy błahych zdarzeń.
I troski już przerosły
dziennego światła ramy.
W kierunku słońca twarz się zwraca,
Nadziei szuka
na dłuższe jutro, na życia sens

Beata Kosicka, Krężółki

MAŁE MODLITWY

Zagubiona w drewnianych kapliczkach,
ukryta wśród mchu wilgoci,
nieśmiała myśl – modlitwa,

chce dziś nam życie ozłocić...

Przebiega stromymi ścieżkami,
omija czyste potoki,
by podziwiać z pielgrzymami,
cudowne, górskie widoki.

A kiedy skryci w kaplicy,
łączymy w pokorze ręce,
zalewa nas dusze wdzięcznością,
na Boga otwiera serce...

I tylko wybucha płomieniem,
gdy Ciało Naszego Pana
uwielbiamy po stokroć!
klęcząc na kolanach...

Więc skryci w góralskiej kaplicy,
pochylamy głowy w pokorze,
dziękując Panu za te myśli,
co są głębokie jak morze...

Bo cicho przychodzą do ludzi,
by serca przenikać promieniem
takie nieśmiałe, modlitwy małe –
Bożej łaski rozproszony cień...

Anna Treder, Runowo

SMAK I ZAPACH CYNAMONOWY

Gdy szłam dziś aleją wśród brzoź
Spadł mi z nieba mały płatek na nos
A za nim drugi w tańcu białym
Aż nazbierało się ich
Całe kupki leżą wokoło
Białe puch
Drzewa założyły białe szale
Na swe rozłożyste ramiona
Trawy okryły się białą pierzynką
Na niebie wirują szalone płatki
W tańcu niezwykłym
Tańczą aż nie zakryją wszystkiego
Aż nie zakryją nas swym białym puchem
I mego noska małego
Pewnie już niedługo Mikołaj w świat wyruszy
By przynieść nam do domów ciepło
i radosny uśmiech dziecka
Rozniesie się wszędzie zapach zielonej
choinki i piernika aromat
Kot będzie w kącie grzał swe kości
A my napijemy się ciepłej herbaty z cynamonem
I będziemy cieszyć się sobą wzajemnie

Aldona Peplińska, Motarzyno

CICHO, CICHUTKO

Cicho, cichutko
Bez poklasku
Bez salw
Przyszedt

W ramionach Matki

Tylko petardy z gwiazd
Niebo rozsypało
W pośpiechu
Tylko dywan srebrny
Aniołów
Rozłożył swe szarfy
Magiczne

Tylko bydło w stajence
Przyklękło
Tylko ludziom blask gwiazdy
Oznajmił
Stało się to, co się stać miało

Nawet drzewa
Z wiatrem w zgodzie
Listkami nuciły kolędę.

Cicho, cichutko...

Jadwiga Michalak, Naćmierz

ŚWIĄTECZNY CZAS

Grudniowy wieczór.
Dziewczynka z zapałkami
nie marznie na dworze.
Brzydkie kaczątko
przygarniają kuchni
nie dziobią inne ptaki.
Zerwane nici nieporozumień
między pokoleniami.
Znikły gdzieś sąsiedzkie waśnie.
Nienawiść i obojętność
na mrozie szczerzą zęby.
Wiara, Nadzieja i Miłość
zagościły w ciepłych chatach
zasnęły słodko na białym obrusie
budząc życliwość w sercach ludzi.
Bo taką właśnie ma moc
Ta święta grudniowa noc.

Anna Idzkowska, Słupsk

W KOLEJNE BOŻE NARODZENIE

Bardzo chciałabym
zachować w sercu na długo
uśmiech nowonarodzonego
Bożego Dziecięcia
opiekuńczy, pełen miłości
wzrok Matki Przenajświętszej
troskliwość Świętego Józefa
Tę chwilę narodzin Boga -
ona jest krótka
pragnie ulecieć do nieba
jak bańka mydlana,
myśli że tam jest jej miejsce

We współczesnym świecie
brakuje miejsca dla wiary
Ludzie są zabiegani
nie starcza im czasu
na niedzielną eucharystię
dobre słowo
miły uśmiech
ciepły gest
Nikt nie zauważa
iż może czas się już zatrzymać

Piotr Wiktor Grygiel, Jasień

SZOPKA

Szopko wigilijna!
Któż Cię dzisiaj wita...
Kto przed Tobą drzwi otwiera
I skąd Ty? - zapyta.

Szopko jezusowa!
Czy dach Twój to taki,
Gdzie lampiony jak girlandy
Przepych i to jaki?

Kolędnicy skromni,
W błocie ubrudzeni
Kolędę śpiewają chórem
Do twarzy z kamieni.

Jeśli wpuszczą, dobrze,
Gdy zatrasną bramy
Ziębnięci idą do innych
Szopkę dla Was mamy!

Tu mała dziecina
Na sianie poczęta,
Przegląda się wszystkim wkoło,
Dobrze zapamięta.

Kiedy tak pukaniem
Echo odpowiada,
Kolęda się sama śpiewa
A nocka zapada.

Szopko jezusowa!
Nie dla wszystkich żywa,
Abys dalej tak chodziła,
Choć Ci lat przybywa.

Szopko wigilijna!
W ręku naszych dzieci,
Niech Cię przyjmą tacy ludzie,
Których serce świeci.

Zygmunt Jan Prusiński, Ustka

BĄDŹMY CIENIEM W OBRAZIE PANA

To jest światło. Cień pomiędzy
kształtem zarysu pędzla,
walczy by być pierwszym przed drzewem.

Pan Jezus szedł tędy
pościć się owocami, natenczas
słysząc dźwięk fujarki pasterza.
Kto jest naszym oswobodzicielem?
Aksamity i jedwabie, atłasy i len –
ubieramy się w czarny płaszcz nadziei,
że kolęda ta pod gwiazdą wybraną
da nam rodzinny spokój.
Czekamy, czekamy na czyjeś pukanie
u drzwi – może ktoś zabłądzi
i opowie nam o klęsce?

JESTEŚMY RODZINĄ PRZY CHOINCE

To nas przybliży. Tajemnica uczuć
jak rozdarty krzyk. Muzyk szykuje nuty
z pamięci, syn Konrad pomaga przy ołtarzu
proboszczowi Janowi. Świeci się światło
a cień zapomnianego wędrowca
na nowo gościnnie przyjęty.
Kolędowanie i opłatek życzeń –
o czym rozmawiać w kraju Chrystusa?
Matka Boska okryła się chustą,
Józef ostatnią ławeczkę zbił dla gości.
Bądźmy święci przy choince i zapalmy
świeczki za tych których nie ma.
A póki co uszanujmy Boga.
Jeśli w nim znajdziemy ciepło,
tym bardziej pokochamy człowieka.

SĄCZY SIĘ TĘSKNOTA ŻYCIA

Córka Amelia w Niemczech, syn Marcin
w Austrii, a mnie zostaje napisać
o nich wiersz. Brygida kręci się niczym
panienka w szklanej kuli, pantofelki
na obcasach czekają przy drzwiach.
Pójdziemy wszyscy oglądać nocne niebo,
każdy ma swoje ukryte marzenia.
Sączy się tęsknota życia, staramy cicho
przenosić czarne farby, by było mniej.
I tak minie Wigilia na saniach z reniferami,
posucha miłości zwilgotnieje łzą.
Jutro w Boże Narodzenie otworzymy sny,
a na samym końcu Aniołowie pościelą
stajenkę dla zwierząt w pokłosie gwiazd.

Anna Karwowska, Dobieszewko

WIEJSKI SKLEP

Na wsi w sklepiku
zawsze sporo jest towaru
lecz ludzkiej treści
wciąż mało i mało.
Tu nie można kupić człowieka
ani mu przygadać
by nie ciągnął nitek
gdy ma kogoś na uwięzi
nie można kupić miejsca
gdzie zawsze jest spokój
i kwitnie jaśmin z krzakiem

bzu na przemian
gdzie zegary stają
żądając wytchnienia
no i balet już nie może
tańczyć z zachwytu
gdzie byle słowo
nie ma już znaczenia
no i wina też co przekreśla
wszystkie złe przeznaczenia.
Gdyby była półka
ze szczęściem w obłokach
usłyszeć
kwartet smyczkowy
uśmiechnąć się
kupić wachlarz
i szumiącą nienawiść
rozwiązać w niepamięć
by każdy poczuł coś
lub mogło mu się zdawać
o rzeczach i wielkich sprawach.
Tymczasem słysząc ten sam
jeden slogan
ile? co? kiedy? słucham?
Zagłądali by może częściej
gdyby można było
kupić
w tym sklepiku szczęście.

Emilia Zimnicka, Izbyca

GDZIE SĄ BABCIU TWE CZERWONE KORALE?

Miałas babciu policzki rumiane
Drobną postać
W strojną bluzkę ubraną
Wełniak w pasy bordo-zielony
Zaś na szyi czerwone korale
Żywe piękno na Twej szyi zawieszone
Smutno mi babciu
Twe korale gdzieś się zapodziały
Gdy cię do złotej mogiły złożono
Pytam słońca, wiatru i księżycy
Gdzie mej babci czerwone korale
Tylko echo czasem odpowiada
Są i żyją w Twoim sercu na stałe
Moja czerwona gorąca miłość
Kwitnie gronem jarzębiny w zorzy
Ożyją gdy je zerwiesz
I na mym grobie jesiennym
Z modlitwą i miłością położysz

Andrzej Szczepanik, Bytów

SZCZĘŚCIE – TAK ŻYŁEM

Dane mi było
żyć szczęśliwie
w chałupie
krytej słomą
śnić beztrudnie
okryty pierzyną
budzić się

lawendowym świtem
dane mi było
w zapachu akacji
smakować morwę
piętami dziurawić
piaszczystą drogę
lusterkiem łapać
ciepłe słońce
błotem pastwiska
sklejać palce
niezmordowanych stóp
dane mi było
żyć w gromadzie
wiecznych przyjaźni
garściami zrywać
słodczy malin
wachać dym
jesiennych ognisk
w świerkowym szeleście
zawieszać strumienie
papierowych łańcuchów
usypiać z kołędą
w matczyńskich ramionach

Irena Peszkin, Mielno

JESIENNE SERCE

Ach – jakie dziś niebo
- południowe
Niebieskie
jak tylko być może

Nie greckie
ani włoskie – lecz nasze
polskie
moje

A przecież jesień w pełni
Jedwabiem srebrnym
obdziergała krzewy

Ptaki formują klucze
podniebne

Wiaterek
chłodem się czai
Liście zziębnięte
złociście drgają
rytmem serc jesiennych
Śmętne jak odlot żurawi

Genowefa Gańska, Bytów

Na stole sianko i obrus biały
Talerzyk z opłatkiem, paląca się świeca
Mamy potrawy już przygotowały
By radość w sercach u dzieci wznieść.

Świeca i sianko zapachem sieje
Każdy w napięciu wieczery czeka

Na niebie jasno jakoby dnieje
To gwiazdka z Boga czyni człowieka.

Pod oknem stoi choinka ubrana
W łańcuszki, bombki i lampki co świecą
Czeka aż będzie kołęda śpiewana
By wydać prezenty dorosłym i dzieciom.

LEŚNY STRUMYK

Powiedz mi powiedz leśny strumyku
O czym tak szumisz dźwięczny muzyku
Czy o pięknym lecie czy złotej jesieni
Lub białej zimie czy wiosennej zieleni

Może też szumisz o ludziach zatroskanych
Idących przy brzegu smutnych i znękanym
Co skargi na los swój do Boga wnoszą
A ciebie cichutko o wsparcie proszą

Więc płyn strumyku poprzez lasy knieje
Zanoś do ludzi radość i nadzieję
Że Pan Bóg stworzył świat piękny wspaniały
Z którego korzystać mogą przez rok cały

Alicja Skurzyńska, Słupsk

smak chleba określa
głód

smak miodu
barwa i zapach
kwiatu

smak samotności –
odległość do najbliższego
człowieka większa
niż do gwiazdy

a o smaku cykuty
mówi ręka
która ją podaje

Jerzy Fryckowski, Dębica Kaszubska

PACZKA POPULARNYCH

Przeplaciles pięciokrotnie
Byśmy po każdym obiedzie
Zapalili po połowie papierosa w lufce

Tylko połowa dziennie
Jakby to było getto
A nie przedmieścia Trójmiasta

Nasza codzienna fajka pokoju
Wydawałeś mi się wtedy wielkim wodzem
Który od białych handlarzy
Potrafi zdobyć papierosy
Szampon i żyletki
Nasze wydane nosy

Rzuciły cienie długie
Jak łodzie wikingów
Na szare gazety
Skaleczone ingerencją cenzury

Ojciec i syn
Kamień i glina

Grzegorz Chwieduk, Kępice

CZADERSKI ANIOŁ SZCZĘŚCIA

przystojniacha z niego:
ogolony i ufryzowany
żelowy elegant
w grafitowym garniturze

dżentelmen całą gębą
(umie się zachować z klasą)

ma koło trzydziestki
i cygańską urodę

jest bardzo sexy

przewraca oczami
w których grają wesołe isierki
uśmiecha się promiennie
bo wszystko mu idzie
jak z płatka

umościł sobie w domu azyl
miłość do żony i dzieci
podlewa
pielęguje

nawozi
zawsze zdolny
do największych poświęceń

w lustrze widzi
zadowoloną z siebie
i tryskająca energią twarz

to dzięki upartej mamusi
zamieszkał w nim
czaderski anioł szczęścia

Ks. Tomasz Staszkiwicz, Ustka

PÓJDĘ I TAK

Już nie zejść z obranej drogi
i pewnie nie będzie mi łatwo.

Nie zrobię kariery, nie będę idolem
znajdą się i kłody na mojej drodze.

Jednak nie zrezygnuję z moich ideałów
i pójdę tam gdzie nie wielu się wybrało.

A później jak dożyję powiem późnym wiekiem
hura udało się pozostałem człowiekiem.

Michał Michalski, Słupsk

POGODA NA WIERSZE

Wyszedłem na wiersze po pracy,
Normalnie jak zbiera się grzyby.
Mój anioł ze srebrnej tacy

Je gubi, niechcący jak gdyby.

Więc rzucam się proszę pana
W niebieskie wrzosowiska,
Stąd te wytarte kolana
I twarz od rosy śliska.

Tych wierszy proszę pana,
Na pewno nie kupi pan w Jysku
Za każdy z nich nowa rana
I za ten też wziąłem po pysku.

Ian Wanago, Wrześnica

SŁUPSKI SEREK W KOSZYKU U CHŁOPCZYKA

Halo, halo! Proszę mnie posłuchać
Co niby po cichu – głośno chcę rozdmuchać,
Bo oto maselko, twarożek i wszystkie nabiąły
Zaś między tym wszystkim skromny serek mały
To także nasze słupskie specjały,
A wszystko ułożone w koszyczku z wikliny
Brakuje tylko młodej i pięknej dziewczyny,
Jest i dziewczyna – bo jak by to było?
Żeby wśród takich pyszności płci żeńskiej nie było,
A to wszystko dlatego że te wiktuały
Radośnie uśmiechnięty niesie chłopczyk mały,
Chciałem go o coś spytać, coś tu do mnie gadał,
Błyskał białymi ząbkami, ruszał buzią,
tym serkiem zajadał
Na koniec rzecz ważna, zdradzę niech się
każdy dowie,
Że te okruszki sera na buzi chłopczyka to
oznaka zdrowia.



zasłużone sztandary w literaturze (c.d.)

Autorka Pydyniak pisze m.in.: „...redakcja nie uciekała się ani do różnorodności gatunków literackich, ani poglądów”. Myślę, że jest to jakaś wstydliva kokieteria, bo poglądy w „AKANCIE” były kontrolowane. Wiem coś na ten temat. Sam Janusz Orlikowski w „Szerokiej panoramie” zaznaczył: „...uczciwy historyk literatury (...) będzie miał również do dyspozycji pisma tego czasu (naszego czasu) hermetyczne, obiegające wokół tych samych nazwisk”.

Nie chcę być złośliwy, bo nie w tym rzecz, ale wiele wierszy bym sobie darował i nie drukował, gdybym był re-

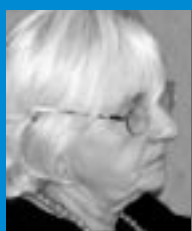
daktorem „Akantu”. Daleko nie szukając, Daromiła Wąsowska-Tomawska w wierszu pt. „Akantowi na Dziesiąty Jubileusz” pisze coś takiego: „Już po letnich turach / (...) dziś w gala garniturach”. Co to ma być? Poezja musi pachnieć nawet przez papier...

Pomijając te drobne uszczypliwości życzę Stefanowi Pastuszewskiemu niech z „AKANTM” dożyje następnych dziesięciu lat. Należy mu się za liczny wkład, jako wydawcy, dla kultury polskiej.

Zygmunt Jan Prusiński, Ustka

w małęcinie patrzę na pola

Ten świat to odległość w linii prostej ponad pięćdziesiąt kilometrów. To miejsce to Małęcino położone pomiędzy Kawczem a Bobięcinem (kierunek Miastko). Tam osiedlono moją rodzinę w 1947 roku - wieś mała wśród lasów i pól - kiedyś tętniąca życiem - dziś spokojna zniszczona zębem czasu. Udokumentowanie jej istnienia jest jeszcze na rozpadającej się tablicy, której właścicielem był von Lettow (1919-1910) - to prawie czterysta lat.



„Powrócisz tu” - śpiewała Jrena Santor. Ja powróciłam, mimo że niejednokrotnie wiatr wiał mi w oczy nie potrafiłam stawiać mu oporu, poddawałam się tej fali i zawiął mnie do miejsca, z którego wyruszyłam w świat w latach pięćdziesiątych.

W latach II wojny światowej w okolicznych lasach stacjonowały wojska niemieckie. Młodzież niemiecka z organizacji Hitler Jugend otrzymała zadanie by w ciągu dwóch tygodni wybudować w Małęcinie dom z gliny przeznaczony na biuro przepustek. Na ich podstawie odbywał się ruch ludności cywilnej. Dziś nie ma po nim śladu, zresztą jak po wielu innych murowanych, łącznie z pałacem i zabudowaniami gospodarczymi rodziny von Lettow. Dom z gliny stał naprzeciwko naszego domu a w 1947 roku zamieszkały w nim dwie rodziny przesiedleńców.

Mój (drugi) rodzinny dom, ciepły tolerancyjny, przyjazny pełen miłości. Może nie takiej okazywanej pustym słowem „kocham”, ale troską, zapobiegliwością, oddaniem i zrozumieniem. Przyjeżdżałam często pomagać rodzicom, zwłaszcza mamie w jej domowych pracach, ale lubiłam także rąbać drewno. Tu naładowywałam pozytywną energią swoje życiowe akumulatory. Tak sobie myślę, że to rodzice wszczepili mi w sposób niezwykle dyskretny miłość do ziemi, do piękna, które nas otacza, które niezwykle sobie cenię. Stało się to poprzez codzienną ciężką pracę.

Mój dom to połowa bliźniaczego budynku. Rodzice pojeźniali się z nim - mama w 1993 roku, tato w 2000, a ja ciągle

widzę ich w każdym miejscu. Mama pieściła kwiaty w ogródku przed domem i ma je nadal. Dosadziłam kilka ozdobnych krzewów i biały bez. W ogrodzie poza domem przerzedziłam sad taty. Wycięłam kilkanaście śliw - wyrastały samoistnie w sposób niekontrolowany. Teraz w ogrodzie jest więcej słońca. Tylko na środku króluje stara jabłoń, na której tato zaszczepił pięć gatunków jabłek.

Powróciłam tu z mężem (po śmierci jego mamy), mimo że do wyboru było zamieszkanie w Słupsku w M-4. Mąż nie chciał zamieszkać w „szafie” - tak to określił. Tu ma przestrzeń, nie ma schodów, otwiera drzwi i już łyka świeże powietrze. Mam wielki sentyment do miasta Słupsk, ale ono całkowicie nigdy mną nie zawładnęło. Tu kończyłam szkołę zawodową, pracowałam, stąd wyprowadziła mnie miłość.

Szczególnie lubiłam i nadal lubię „stare miasto” - to z moich młodych lat z małymi sklepami, straganami, karuzelą i estradą (w obecnym parku Waldorffa naprzeciw Ratusza), gdzie „na żywo” można było posłuchać muzyki. Lubiłam zabawy takie prawie wiejskie w Domu Kolarza (którego już nie ma) czy w świetlicy na Jaracza. Zawsze zachwyciły mnie i nadal zachwycają stare kamienice. Patrzę na gzymsowe ozdoby i myślę o ludziach, którzy w pracę swą włożyli nie tylko wielką znajomość rzemiosła, a także wiele serca. Wielka szkoda, że to wszystko obumiera. Nowe jest też piękne, ale to już nie to.

W Małęcinie patrzę na pola - te same co niegdyś, ale inne. Dawniej rozdzielały je od siebie różne uprawy: ziemniaki, buraki, brukiew, saradela, koniczyna, różny asortyment zbóż. Dzisiaj, jak okiem sięgnąć, faluje jeden rodzaj zboża i tak na zmianę. Ziemia lubi aby ją dopieszczano, odwodziąc się so-wicie. Kiedyś przewoził nawóz naturalny, dzisiaj wszystko w „pigulce”. Każde podwórko żyło własnym rytmem w swoisty sposób, gdały kury, kwakały kaczki a koguty urządzały koncerty podrywając kury sąsiadom. W ogródkach rosły wszystkie niezbędne warzywa. Dzisiaj jest inaczej. Ziemia nawykła do rodzenia i rodzi, ale niedopieszczona ręką człowieka - tylko chwast różnego autoramentu, pokrzywy, krzewy i las.

Inna jest ta wieś. Określiłabym ją jako zapuszczoną, zaniedbaną. Żyją tu jednak ludzie, którym należy się szacunek za zmaganie się z niełatwym życiem zarówno tym samotnym, jak i rodzinom wielodzietnym.

Gdyby ktoś latem spróbował odpocząć nad pięknymi jeziorami w Bobięcinie proszę w Małęcinie z szosy skręcić na brukowaną drożkę i odnaleźć dom Nr 5/1. Powitam z radością.

Eugenia Ananiewicz, Słupsk

fotografia - rzeczywisty obraz chwili

Byłem na inauguracyjnym otwarciu wystawy prac fotograficznych Jana Maziejuka w Zamku Książąt Pomorskich w Słupsku. A było co oglądać. Oprócz fotografii sprzed kilkudziesięciu lat, robiły wrażenie stare aparaty fotograficzne i projektory filmowe, różne publikacje i foldery, nawiązujące swą treścią do tych eksponatów. Fotografia to prawdziwa pasja J. Maziejuka i to od najwcześniejszych jego lat. Już w młodości utrwalił wiele niepowtarzalnych scen z codziennego życia prostych ludzi, mieszkańców pomorskich wsi i małych miasteczek. Pokazuje w nich najdrobniejsze szczegóły. Niektóre z nich nas bawią, inne budzą refleksję i wzruszają do łez. Są jednak cennym dokumentem minionej epoki.

Z szacunkiem do tego, co minęło pan Jan dalej poszukuje niezwykłych miejsc, obiektów i sytuacji, nawiązujących do przeszłości. Szczególnie upodobał sobie polską wieś i piękno, które w niej można odnaleźć. Myślę, że w każdej wsi widzi

Z szacunkiem do tego, co minęło pan Jan dalej poszukuje niezwykłych miejsc, obiektów i sytuacji, nawiązujących do przeszłości. Szczególnie upodobał sobie polską wieś i piękno, które w niej można odnaleźć.



swą rodzinną miejscowość „Jagodnica” i dlatego obiektywem aparatu wyszukuje wszystko to, co mu ją przypomina: krajozabytki i historię, kulturę i obyczaje prostych ludzi.

Na jego fotografiach dostrzegamy barwne obrazy, których prawie już nie ma na wsi. Widać na nich chaty kryte słomą, a wokół nich wiekiem pochylone płoty i kwitnące słoneczniki. Często jego obiektyw wędruje do chat wieśniaczych, gdzie przygląda się tradycyjnemu przędzeniu wełny, ksiszeniu kapusty i darciu pierza. Niektóre obrazy są inscenizowane, a wyglądają jak dawniej.

Przyjazne jego pasjom fotograficznym: biuletyn informacyjny „Powiat Słupski” i „Naji Góche” dają autorowi tych prac szerokie pole do popisu. Większość ilustracji tam zmieszczonych to barwne obrazy o ginących już zawodach, o unikalnych i cudem ocalałych od zniszczenia wiejskich obiektach zabytkowych, dawnych maszynach i narzędziach rzemieślniczych. Dzięki tym publikacjom coraz więcej na wsi powstaje kół zainteresowań dawną kulturą wiejską i dla przetrwania tworzy się regionalne izby pamięci, w których gromadzone są różne pamiątki z przeszłości.

**Mieczysław Krymski
Żochowo**



UPODOBAŁ SOBIE POLSKĄ WIEŚ I PIĘKNO

pani maria jaśniała z dumy



Pamiętamy zwykle ostatnie spotkanie. Albo obrazy – migawki z życia. Fragmenty, bo nawet najbliżsi niewiele o nas wiedzą. Może gdyby pozbierać te kawałki, okruchy, dałoby się ułożyć coś, co byłoby dowodem osobistym, świadectwem, że byliśmy nie tylko częścią w obrazie świata, ale wręcz przeciwnie – światem całym – dla tych, których kochaliśmy i którzy nas kochali.

Obraz przedostatni: Lipcowe przedpołudnie. W ogródku po wschodniej stronie domu Kasia, schylając się, plewi grządkę z ostróżkami. Wysokie kwiaty wyrastają poza ogrodzenie. Po drugiej stronie płotu, oparta ręką o zieloną ramę przeszła, stoi pani Maria. Dawno jej nie widziałam, bo

pani Marii przeczą uśmiechowi. Widzę w nich - za piątą zastoną: z miłości do córki, obawy o Ewę, czułości do Pauli, myślenia o latach przeżytych z mężem, przyjemności rozmowy w letnie przedpołudnie – smutek pożegnania, o którym nie mówi.

już nie pracuje. Wyda-
je mi się szczuplejsza i
bledsza. Podchodzę bli-
żej, pozdrawiam. Obie
panie uśmiechają się,
rozmawiamy, chwali-
my piękną pogodę. Nie
narzeka, nie skarży się,
mimo to odczuwam
niepokój, bo duże oczy

WSPOMNIENIE

Obraz ostatni: Początek września. Dzieci wracają ze szkoły. Idę z Brygidą odwiedzić panią Marię. Jest poważnie chora, nie wstaje. Sama nie wierzy, że to tak szybko.

- Wydaje mi się, że gdybym wstała i wyszła z tego pokoju, to choroba zostałaby tu, a ja byłabym zdrowa - mówi.- Ale nie mam siły wstać - dodaje ciszej.

Prosi nas, byśmy nie lekceważyły własnego zdrowia. Choroba nie jest wstydliwym stanem, trzeba przełamać obawy i poddać się leczeniu. Byle w porę. - Ja się spóźniłam - dodaje ze smutkiem. Umawiamy się na następne spotkanie za kilka dni. Kilka dni to może być wieczność. Tak się stało.

Obraz najwcześniejszy: Jestem w czwartej klasie. Pierwszy wrzesień 1957 roku. Nowa wychowawczyni - pani Maria (...). A przecież niedawno na przerwach w „Czerwonej różyczce” bawiła się z nami pani Suchorowska. Ach tak! Wyszła za mąż za tego przystojnego pana, który też niedawno zamieszkał w Objeździe. Takie wydarzenie odmienia nie tylko nazwisko. Młoda mężatka z radością wchodzi do klasy, ale nie pobbąża spóź-



nialskim. Dostałam i ja „łapy” za niepunktualne przychodzenie na lekcje. Poskutkowało. Do dziś staram się nie spóźniać i cenię ludzi punktualnych.

Po latach: Zauroczona szkołą, postawami ludzi ją tworzących, idę w ich ślady. Najpierw liceum pedagogiczne, studia polonistyczne, pierwsza praca daleko od domu, by się sprawdzić, wreszcie powrót do Objazdy. Moje pierwsze spotkanie z gronem pedagogicznym, w skład którego wchodzi moje dawne nauczycielki, było wyzwaniem nie lada. Ale to właśnie dzięki ich życzliwości i wyrozumiałości odważyłam się być sobą. Zrozumiałam istotę bycia nauczycielem, gdy pewnego razu pani Maria poprosiła mnie po lekcjach do klasy. Był tam trzecioklasista Krzys. Usiadłam w ławce. Chłopiec stanął przy tablicy i wykonywał ćwiczenia podane przez nauczycielkę. Pani Maria jaśniała z dumy, że jej uczeń tak sobie radzi. Teraz wiem, że nie ma w nauczycielskim zawodzie lepszej za-

płaty niż pomyślność naszych uczniów. Tym się kierowałam w swojej dalszej pracy.

Czesława Długoszek, Objazda

moja chata za wsią

Siedzą. Nogi pozadzierali na pufy i rozparci wygodnie w fotelach, wlepiają ślepią w wielokolorowe ruchome obrazy. Oglądają film o duchu wędrującym w labiryncie barw kładzionych pędzlem, stęsknionym za tym, który odszedł, a jest tuż za niewidoczną warstwą oddzielającą Ten od Tamtego...



Czasami tylko nieproszone panny w szarych futerkach wprowadzają się na poddasze. Kot Kleofas z uporem przegania chrobaczki w zakamarkach i od czasu do czasu wynosi. Nie zjada, układa pokotem... Potem przysiadła i patrzy na swoje trofea.

To moja gromadka. Już niekompletna, bo jeden ptaszek jakiś czas temu wyfrunął z mojej chaty za wsią. To prawdziwa chata za wsią. Kiedy jesienny chłód za oknem a wiatr szarpie sukienki świerków, dziesięciu świerków stojących na miedzy, zastaniających widok na przycupniętą w oddali wieś i drogę - tu cichutko. Czasami tylko nieproszone panny w szarych futerkach wprowadzają się na poddasze. Kot Kleofas z uporem przegania chrobaczki w zakamarkach i od czasu do czasu wynosi. Nie zjada, układa pokotem... Potem przysiadła

i patrzy na swoje trofea.

W dzieciństwie nie miałam kota. Mama moja nie wyrażała na to zgody. Może od takich widoków chciała mnie uchronić? W dzieciństwie też nie miałam telewizora. Pamiętam jak na początku lat siedemdziesiątych ubiegłego stulecia - jakże to mocno historycznie i histerycznie zaczyna brzmieć - tak więc lat temu ponad trzydzieści mieszkaliśmy w pegeerowskich czworakach na końcu wsi. Ojciec po robocie jadł obiad, rozpałał w piecu kaflowym a potem zniknął z domu. Wracał wieczorami ze świetlicy, gdzie na gapieniu się w jedyny we wsi telewizor marnotrawił czas w towarzystwie mnóstwa innych równie jak on spragnionych wiadomości zafascynowanych cudem techniki. Wracał podekscytowany i opowiadał a to o wiadomościach, a to o teleturniejach, i o tym jak to dziwnie, że ten sam człowiek w jednym przemówieniu to ma krawat w paski a potem całkiem gładki. A zdarzało się nieraz, że przy relacjonowaniu tychże sensacyjnych wiadomości drażał się niemiłosiernie po potylicy i nad uszami. Matka syczała wtedy złowrogo: - Znowuś wszy naniósł. Tyle z tej telewizorni dobrego mam!

Niedługo jednak po tym i u nas w domu na specjalnym stoliku między dwoma łózkami stanęło to чудо. Małe pudełko ze sterzącymi dwiema antenkami, gdzie w środku każdego wieczoru przed pacierzem wolno nam było obejrzeć dobranocę. Próbuję sobie przypomnieć, jakie były moje pierwsze: Jacek i Agatka, Miś Uszatek..., ale nie pamiętam, która pierwsza. Pamiętam też, jaką mama z nami wojnę prowadziła, gdy w niedzielne przedpołudnie nie chcieliśmy

wychodzić do kościoła, bo teleranek szedł w telewizji...

Pamiętam jednak i to, że pytałam mamy w tamten czas, co jest na końcu tej polnej drogi w tej stronie gdzie nigdy nie idziemy, a co ją z okna widać? A okno było małe z kuchni na północ, patrzyło z poddasza daleko gdzieś w pola... Obiecała zaprowadzić, ale jakoś jej zeszło. Przyszła jesień tak jak teraz. Zaprowadzono mnie do pierwszej klasy! A potem się wyprowadziliśmy na drugą wieś, do bloków. Zapomniałam o braku odpowiedzi. Bo, czy to jedyna, jakiej nie miałam? Jakże biło mi serce, gdy po dwudziestu latach szłam tą drogą, by obejrzeć ostatnie popegeerowskie mieszkanie, które wykupić miałam na własność. Minęliśmy PGR opuszczony, skręciliśmy w drogę gdzie po lewej czworaki - ten ostatni moje dzieciństwo pamiętający, wciąż stały z tymi samymi malutkimi drewnianymi okienkami dzielonymi listwami na czworo. Mieszkańcy czworaków siedzieli na ławkach i gapili się za nami szemrząc: - Co za jedni? Czy ktoś mnie w ten dzień poznał - nie pamiętam, ale ja poznałam nasze okienko na poddaszu, i tę chałupę naprzeciwko, niską parterową i tę drogę polną błotną poznałam. Jakże waliło mi serce i pytanie echem pamięci, dziecięcym, piskliwym głosem zadawane: - A pójdziemy tam, pójdziemy? A co jest na końcu tej drogi?

Na końcu tej drogi co jest?

- mój dom, chata za wsią...

Za drugą osadą jeszcze kolejne trzysta metrów. Na drobnym wzgórku, na miedzy niebosiężne świerki jak dziesięcioro przykazań, a za nimi mały polniemiecki dom.



Kiedyś był jednorodzinny, ale gdy ostatni właściciele za rentę oddali swoje włości dla państwa, PGR podzielił dom na dwa mieszkania. Te od drogi już zamieszkane. Dla mnie to z wejściem od podwórka. Kiedy dotarliśmy tu było już popołudnie. Chylące się ku zachodowi słońce zaglądało do kuchni. Zagląda tak do dziś. Przez te piętnaście już ponad lat, codziennie równie głęboko zachwycając jak i dziś, gdy liliowo fioletowo purpurowymi wstęgami wplatało się od świerkowych sukien przez brzozowe witki w klonowe wplątane gałęzie po chruśniaki bżów czarnych i osiki bezlistne rosochate.

Moja chata za wsią, za dziesięcioma świerkami, gdzie siedzę i tą opowieścią dzielę się z wami.

Ewa Bawolska
Stębark

o bułgarze – rybaku z poddąbia

Tak przez płot pogadywały Filowa z Jostową. Pogoda była piękna mimo wczesnej wiosny. Dzieciaki w szkole, więc można omówić wszystkie wiejskie sprawy. A to, że u Jaskólskich maciorka przywiodła osiemnaścioro prosiąt i trzeba je butelką dokarmiać. I że pod lasem znów strzały słyhać było. Kiedy koniec tej wojny będzie? Przecież Niemca już kilka lat nie ma, a ci, co zostali, spokojni i jak swoi. - Tak, tak, ale strzały między swoimi padają. Na cmentarzu obok żelaznych krzyży niemieckich są już drewniane, polskie.

Rozważania sąsiadek przerwało poruszenie wśród kotów. Pierwszy jak opętany wyskoczył Rademenes Filów. Kocur był czarny, duży, więc tylko świsnęło pod nogami i kot pędził szosą przed siebie. Z zagród wybiegały co chęj inne koty i pędziły za Rademenesem. Tylko biedny Mruczek miauczał żałośnie pod drzwiami. Jostowej żal się zrobiło kota, więc pożegnawszy sąsiadkę, poszła dać mu wolność.

Niebawem zza zakrętu wyłonił się powód kociego zamieszania. Na przedzie dzwonił podkowi o kamienie zgrabny konik. Ciągnął niewielki wózek. Żelazne obręcze stuknęły, chrzęściły, ale dobrze chroniły drewniane koła. Między kłonicami była ławka. Siedział na niej mężczyzna postawny, czarniawy, ani stary, ani młody. O ładunku, który wioził w skrzyni za siedziskiem, zapach zaświadczał miły kotom. Dlatego jedno pomykało truchtem za wozem, inne

- *A widzieliście, sąsiadko, Bułgara dziś jechał?*
- *Oj, chyba nie, bo mój Mruczek spokojnie śpi w chałupie.*
- *To i mnie dziwnie bez kociej muzyki. Cisza, aż w uszach dzwoni.*



wyprzedzały go, tworząc korowód barwny i jazgotliwy. Wozak ładunku bronił batem, bo by mu go koty zjadły.

Bułgara to był rybak z Poddąbia. W obejściu kobieta została z dziećmi. Biednie im się żyło, jak to na przednówku. Ale przecież i na biedę rada była. Pogoda przyszła. Łódką na morze przed świtem wyjeżdżał. Przed południem przesiadał się na wózek i ryby po okolicznych wsiach rozwoził. Wracał do domu wieczorem, przywożąc kartofle, zboże, czasem parę złotych.

Ludzie płacili, czym tam mieli. A mieli niewiele, bo nikt tu bogaty nie był. Jednych przygnała tu wojna na roboty przymusowe, więc jak Polska nastała, zostali. Inni do domu pod Wilnem wrócić nie mogli. Granica rozdzieliła rodzinę. Syn osadnik tu został, a matka tam. Odważnych z „centrali” zwabiła nadzieja lepszego losu. A byli i tacy, których ochota na szybki zysk ze stron rodzinnych wygnała. Ale ci się zawiedli.

- Dajcie mi ze dwa dorsze, panie Bułgara. Piątek dziś,

obiad będzie w sam raz - poprosiła Filowa.

- A dla mnie śledzi do miski. Trochę zasole, to w Wielkim Tygodniu będzie co jeść - wyjaśniała Jostowa.

Rybak rozdawał śledzie, dorsze, szproty. Zapłatę przyjmował, a na odjazdne i kotom coś rzucił. Miał w tym swój interes. Zajęte robotą przy rybie dały mu spokój.

Opowieść o rybaku Bułgarze zapamiętałam z wczesnego

dzieciństwa. Opowiadał mi ją mój ojciec, osadnik wojskowy, którego dom rodzinny został pod Wilnem. W Objeździe prowadził gospodarstwo rolne, rodziły się tu jego dzieci, później wnuki. To On opowieścią o rybaku Bułgarze i innych malowniczych postaciach budował rzecz trwalszą niż system polityczny, w którym przyszło mu żyć - pojęcie małej ojczyzny.

Czesława Długoszek
Objazda

reminiscencje literackie - *via poetica vitae*



„Gdybym była filozofem zmieniłabym epikurejską formułę „szczęście to brak cierpienia” na „szczęście to brak czekania”. Cierpienie to jeszcze życie, czekanie to jego odpływ. Dlatego naród polski przestaje tworzyć dzieje, że w swej większości „poświęca się czekaniu”. Ale oczywiście, aby nie było czekania, potrzeba kilku warunków i nie zawsze jest się winnym, że czeka się w nudzie i męczarni zamiast żyć. A że nie ma reguły bez wyjątków. (...) Są zresztą na szczęście ludzie nie tak utalentowani do męczenia się czekaniem jak ja. Są zdolni do abstrahowania się od wyczekiwań.” – pisała Maria Dąbrowska.

SPOTKANIA W DRODZE

I oto w pięknym Bytowie nie czekają! Miasto z bogatą przeszłością historyczną niezbyt znane jest z dokonań literackich. Wiadomości o twórcach, talentach i osiągnięciach w tej dziedzinie dochodzą do nas fragmentarycznie. Podobnie zresztą jak w całym kraju, współcześnie tym „prowincjonalnym” przebić się na forum nie jest łatwo. Gdy zapytamy uczniów miejscowych szkół, kto to Wacław Pomorski – odpowiedzą dość łatwo – bytowski poeta, malarz, grafik i animator. Ale gdy zapytamy o Marię Dąbrowską – jest znacznie gorzej. A przecież ta znana polska pisarka, właśnie tu, do Bytowa przyjeżdżała pociągiem relacji Lipusz – Bytów (dzisiaj linia ta jest nieczynna) do swej siostrzenicy pracującej w bibliotece.

Kto jak nie szkoły, nauczyciele przedmiotów humanistycznych, języka polskiego powinni propagować wiedzę o twórczości regionalnej własnego środowiska, o historii, o ludziach i literaturze. Kontakt z tymi, co już coś piszą a tymi, co

chcieliby bądź mają talenty pisarskie, lecz nie mają odwagi się ujawnić, jest z pewnością niezwykle pożyteczny. Że nie jest z tym aż tak źle (a zawsze może być lepiej) świadczy chociażby spotkanie młodzieży i opiekunów szkół gimnazjalnych powiatu bytowskiego z poezją i autorami wierszy w gmachu Gimnazjum nr I w Bytowie. Odbyło się ono na zasadach konkursu recytatorskiego z cyklu „III Wieczór Poezji Jesiennej”, ocenianego przez jury pod przewodnictwem Wacława Pomorskiego, prezesa klubu literackiego „Wers” w Bytowie.

W auli szkoły pojawiło się ponad stu uczestników, wśród nich kilkunastu recytatorów z różnych szkół gimnazjalnych. Po jednym wierszu zaprezentowali zebrany też obecni na sali poeci z klubu „Wers”. Wszystkie wiersze przyjęto oklaskami.

Jury wyróżniło kilka osób: dwa równorzędne I miejsca otrzymali: Mirosława Piechota (fragment z książki Barbary Kosmoskiej „Buba”) i Łukasz Hering („Ballada jak samo życie” Wandy Majewicz). Trzecie miejsce przypadło Aleksandrze Szczur. Wyróżnienia dla: Joanny Czaja, Iwony Topka i Pauliny Peplińskiej.

„Wieczór Poezji Jesiennej” przygotowały panie polonistki: Joanna Ziembowska, Mirosława Gołębiowska i Karolina Ciżmowska. Trwał około 2 godzin i pozostawił uczestnikom miłe wrażenia na długie chwile. Oby takich spotkań było więcej.

Piotr Grygiel, Jasień

Sprostowanie

We „Wsi Tworzącej” Nr 4 (29) w tekście P. Grygiela pt. „Pomilczmy razem” błędnie wydrukowaliśmy jedno ze zdań, które powinno brzmieć: „Zawsze pociągająca mnie gra Humphreya Bogarta”. Za pomyłkę Autora i Czytelników przepraszamy (Z.B.-Z.)



anioły sfrunęły

W ciemnościach pojawiły się postacie duchów. Scena udekorowana była jesiennymi liśćmi. Kiedy w nastrojowym świetle reflektorów zabrzmiały tony pięknej muzyki, dziewczęta, pięknie tańcząc, czegoś szukały w liściach. Szukały kart poezji. Znajdując, czytały ją pięknie w asyście małych duszków.

Duży ukłon należy się pani Beacie Dalmacie za ten spektakl. Na spotkanie zaproszono wielu gości. Sala była wypełniona po brzegi. Jakże się ucieszyłam gdy zobaczyłam poetów z naszej grupy „Wtorkowe spotkania literackie”. Była Danuta Kmiecik z Ustki, Beata Kosicka z Krężolek. Zaproszony był Januszek Wanago, ale nie mógł przyjechać. Jego poezja była jednak obecna. Osobiście przeczytałam jego wiersz pt. „Czym jest życie ludzkie”.

Zaprezentowało się wielu nowych poetów. Swoje wiersze czytał m.in. Leszek Rękas ze Starkowa. Szkoda, że jeszcze się nie ujawnił na naszych spotkaniach w starostwie. Wiele autorów występowało po raz pierwszy, niektórzy byli mocno stremowani.

Poezja jest jak obraz, który kiedy jest osadzony w odpowiednie ramy ukazuje dopiero całe swoje piękno. To dzięki organizatorom tego spotkania, poezja miała w Zaleskich wyraz wyjątkowy.

Ksiądz proboszcz Jerzy Wyrzykowski Duninowa trafnie określił nastrój zaduszkowego spotkania w Gminnym Ośrodku Kultury Gminy Ustka w Zaleskich – Anioły sfrunęły.



Anioły lubią przebywać między ludźmi.

Henryka Jurałowicz – Kurzydło Słupsk

POEZJA JEST JAK OBRAZ

dzieci malowały moje wiersze



Co Iwona Stawecka sprawiła to całe zamieszanie w sensie pozytywnym, że pojechałam do Kobylnicy na spotkanie z „wierszem” do klasy III B w Szkole Podstawowej im. K. Makuszyńskiego.

Raz odmówiłam jak zadzwoniła pani wychowawczyni, bo pilnowałam chorego wnuczka, ale następnym razem zgodziłam się. To było 30 Listopada, na Andrzeja. Po wyrażeniu zgody wpadłam w panikę, bo właściwie nie miałam odpowiednich wierszyków dla takich maluchów. Z „marszu” napisałam dwa: o św. Mikołaju i Bożym Narodzeniu, dobrałam jeszcze kilka: Mojej babci, Święto niezapominajki, Wcześniej zaczął inne.

Bardzo się bałam tego czy zdołam zainteresować poezją taką młodzież i jak wypełnię godzinę lekcyjną. Na miejscu poprosiłam przejąć panią wychowawczynię i panią bibliotekarkę o ratowanie mnie z opresji gdybym się „zapętlila”. Stawiłam się na spotkanie ze słodkim poczęstunkiem i prawie z godzin-

nym wyprzedzeniem. Jestem zauroczona szkołą, przestrzenią, wystrojem. Mogłam spokojnie obejrzeć prace uczniów, tablice informacyjne itp. Zadziwiające jak wiele pozytywnych rzeczy potrafią zrobić maluchy przy mądrym i wrażliwym pedagogu - wychowawcy. Prowadzą zbiórkę pieniężną „grosik” na szczytny cel pomocy innym i już od najmłodszych lat uczą się wrażliwości na potrzeby drugiego człowieka. Nie sposób ich nie wspomóc. Jak zwykle w takim przypadku powrócić musiało wspomnienie - porównanie do mojej klasy.

Spotkanie odbyło się w bibliotece. Pani wychowawczyni przyprowadziła swoją klasę, przedstawiła mnie uczniom i podarowała dwa obrazki Starówki Warszawskiej namalowane przez Adę Adamczewską i Weronikę Śmietankę. Aż trudno uwierzyć, że to prace uczennic II klasy. W kilku słowach przedstawiałam się osobiście i usiadłam wygodnie na krzeselku, na naprzeciwko mnie, na podłodze, na dywaniku gromadka wnikliwych obserwatorów. No i poszło. Udało mi się wzbudzić zainteresowanie słuchaczy. Po wierszach była seria pytań niezwykle profesjonalnych. Byłam pozytywnie zaskoczona. Czas szybko minął, zostało go bardzo mało na uwiecznienie w rysunku tego, o czym mówiły moje wiersze. Mój słodki poczęstunek panie rozsypały na talerzyki i postawiły na stole. Dzieci chrupały i rysowały. Ja piłam herbatkę i ostrożnie jadłam babeczkę w środku któ-



rej była informacja: „otrzymasz prezent”. Okazało się, że dzieciaki pomagały rodzicom przy wypiekach ciast, którymi mnie częstowano. Na taką imprezę nie byłam przygotowana. Serdeczne dzięki im za to, serdeczne dzięki obydwu paniom i rodzicom.

Na zakończenie spotkania otrzymałam prezent wywrozo-

ny w babeczcze: dziewięć podpisanych rysunków, na których pysznił się Św. Mikołaj, ja w sukience haftowanej w niezapominajki i niezapominajkowe ogrody.

**Eugenia Ananiewicz
Słupsk**

nie piszę już do szuflady

Należałem do grona osób piszących do szuflady. Czytałem wiersze osobom najbliższym, ponieważ zawierały treści bardzo różne, czasami intymne, bardzo szczere. Z drżeniem czekałem na efekty tego czytania. Dzieliłem się przecież skrytymi marzeniami, przeżyciami i odnalezionymi po latach wspomnieniami.

Odstaniałem swoje wnętrze poddając je ocenie innych. Dla nich nie tyle ważna była forma, ile treść moich wierszy. Chciałem poprzez udostępnienie ich przekazać moje zainteresowania, coś opowiedzieć i wyznaczyć w inny niż zazwyczaj sposób. Ktoś z czytających dostrzegł w nich nadmiar wizjonerstwa, sentymentalizm. Była to ocena wyjątkowo trafna, ponieważ tak właśnie widzę świat oraz nadchodzącą przyszłość.

Obecnie nie piszę już do szuflady, a wszystko zmieniło się w dniu, w którym zaproszony zostałem do udziału w spotkaniu poetyckim klubu literackiego przy słupskim starostwie. Nigdy nie prezentowałem swojej twórczości ludziom piszącym i wydającym swoją poezję. Ciekaw byłem pierwszej profesjonalnej oceny.



Przyjęty zostałem przyjaźnie. Do Bytowa wracałem pełen entuzjazmu i radości. Poznałem serdecznych ludzi pomagających sobie i innym swoją poezją.

Dużym przeżyciem było uczestniczenie w obchodach dnia działacza kultury w Kępicach. W pięknej scenerii parku, u stóp pomnika Marii Konopnickiej czytałem swoją „Kaszubską ojczyznę”. W trakcie następnych, rodzinnych wręcz spotkań poznałem nieznanych mi poetów, a teraz przyjaciół „po piórze” - pp. E. Ziemnicką, H. Jurałowicz - Kurzydło, J. Karwowską, przebojowego Z. Prusińskiego i wielu innych. Wszyscy stwarzają wyjątkowo życzliwą atmosferę niezbędną do kontynuowania mojej amatorskiej twórczości.

**Andrzej Szczepanik
Bytów**

dzieci się nie nudzą



... tak można powiedzieć o dzieciach ze Szkoły Podstawowej im. Kornela Makuszyńskiego w Kobylnicy. Nie trzeba było czekać na karnawał, by zorganizować im wielki bal przebierańców.

Jesień w tej szkole jest zawsze barwna i radosna, bo tradycją jest coroczny konkurs organizowany na najciekawiej udekorowany stół jesienny.

Poszczególne klasy zdobią stoły w holu szkoły ciekawymi darami jesieni z pól i ogrodów oraz wykonują fantastyczne ludziki. Właśnie w tak ciekawej scenerii klasy pierwsze zorganizowały bal jesiennych przebierańców. Tańce poprzedził występ pierwszaków na temat zdrowia oraz pogadanka szkolnej pielęgniarki.



Bal jesienny pozwolił zapomnieć o szarudze za oknem i był okazją do połączenia nauki z zabawą.

Bożena Łazarczyk, Kobylnica

rozmowa o książce

ZAPISANE W BIBLIOTECIE

- Dzień dobry. Ma pani jakieś książki o wariatach, najlepiej o schizofrenikach?

- Są powieści sensacyjne, o mordercach psychopatach, a... może „Zbrodnia i kara” będzie dobra?

- Raskolnikow? Już dawno to przerobiłem, niech mi pani da Wojaka Szwejka.

- Wojaka Szwejka?

- Tak, tak Wojaka Szwejka. Z Wojaka Szwejka dowiedziałem się wszystkiego o schizofrenii, wszystko tam wyczytałem, tam jest kupa wariatów opisana!

- Przykro mi, ktoś wypożyczył, nie ma Wojaka Szwejka. Ale mogę dać panu biografię Haszka.

- To niech pani da. No, widzi pani, czy on nie wygląda jak schizofrenik!

- Ale ja nie wiem jak wygląda schizofrenik.

- Nie wie pani? Nie mówiłem pani jak miałem rozdwojenie jaźni, a nawet rozstrojenie i wydawało mi się, że jestem Bogiem. Latałem po sąsiadach i chciałem uzdrawiać ludzi. Wtąpałem się, mówiłem, że jestem Jezusem i chciałem uzdrowić starego A., bo leżał sparaliżowany, ale jego żona wezwała policję!...

- Bierze pan jakieś tabletki?

- Od dwóch lat nie biorę. Jestem wyleczony. Ale dopiero pomogła mi egzorcystka. A wie pani, że B. zadzwonił na mnie do ZUS-u i powiedział, że jestem całkiem zdrowy i tylko udaję wariata!

- Po co to zrobił?

- Bo mi zazdrości renty!

- I co się stało?

- ZUS wezwał mnie na komisję, lekarka mówi do mnie: Słyszałam, że jest pan zdrowy tylko udaje pan wariata. A ja do niej: To co, miałem przyjechać z siekierą, żeby pani uwierzyła, że nie jestem wariatem? To przecież lekarze psychiatry powiedzieli, że jestem wariatem.

- I co, zabrali panu rentę?

- Jeszcze nie wiem...

- A mówiłem pani, jak mi się wydawało, że moja żona jest diabłem i zacząłem ją dusić?

Do biblioteki weszły trzy dziewczynki: – Możemy poglądać książki?

- Możecie.

- No dobra, to ja już pójde. Ale ten Haszek wygląda jak prawdziwy wariat!

Elżbieta Gągiew, Darłowo



MOJE ŚWIĘTA

Święta moje ukochane,
pachnące spod obrusa świeżym sianem,
opłatkiem białym niczym chleb miłości.
Jak każę tradycja każdy z nas w ten dzień pości.
Pachnące barszczem z uszkami
i karpim smażonym
i białym opłatkiem wspólnie dzielonym.
Choinką zieloną strojną jak królewna
(pod nią prezenty),
z oddali dobiega kolędy nuta rzewna.
Święta to zapach potraw dwunastu
oraz podniosły, ciepły, rodzinny nastrój.
To puste miejsce dla gościa z daleka,
na którego ono właśnie tutaj czeka.
W te święta rodzi się Boża Dziecina,
zaś o północy Pasterka zaczyna,
na którą wierni śpieszą gromadnie



Być może w te święta pierwszy śnieg spadnie
i cały świat swym puchem wybieli
a serca nasze bardzo rozweseli.
Święta te są raz w roku
- narodzony Jezus niesie ludziom pokój.



SATYRA NA CZASIE

Jan Dylewski, Drzeżewo

POLONEZ CZY CHODZONY?

Choć dopiero po wyborach
o następnych myśleć pora
Już przebiegli kandydaci
myślą jak stołków nie stracić
Cztery lata to nie gruszka
z rządowego garnuszka
ani pestka jednorazowo
która owocuje
znaczy się jak wierzba
Millera blefuje
Obecna koalicja PSL - PO
to nie to co PIS i postkomuchy

Tusk z Pawlakiem to prawdziwe zuchy
Jeden ma zasady
a drugi generał
specjalista od stołków
szeroko i wysoko
na chłopski rozum
nie zaś Felka oko
Lecz co mi się zdaje
iż bez Mariusza Kamińskiego
oraz CBA
nastąpi lawinowy spadek zaufania
społecznego
I nie zdążą łupów napchać
bo Jarek to nie w ciemę bity
Więc zawiodą zasady i mity
i moje czarnowidztwo niech nikogo
nie obraża
Niestety, to się nagminnie zdarza

PIERWSZY RAZ NA ŁAMACH „WSI TWORZĄCEJ”

Adam Tyszer, Wałbrzych

SŁOŃCE

W barwach starego lasu
Zaiskrzyło się wschodzące słońce
W barwach jesieni czy wiosny
W warkoczach białej brzozy
Promienie dawały złocisty kolor
Jakby przeszłość była inna

Załomotał wiatr płaczu
Choć stare drzewa pamiętały przeszłość
Załomotał wiatr
Odlatującego ptactwa
Chmur kołyszących się w barwach słońca
Nie widziałem tu prawdy dnia przeszłego
To krew jak słońce jasna

Choć ptaki odlatują w lepszy świat
Nienawiść pozostaje tak stara
Jak pnie spróchniałych drzew
To przeszłość
Przeszłości znienawidzonej

Pochylam się nad strumykiem prawdy
Obiecanej zachodzącego słońca
I wodnej toni płynącego strumyka
Horyzontów miłości Boga Jedyne
Podkowy zagubionego życia
Zachodzącego słońca

SŁUPSK

To miasto dźwiga się
ku chmurom wspartym słupami
nieba kawałek oddalonego od czasu

miasta marzeń wschodzących gwiazd

może słupy i pale
przeszłość podtrzymują
i jeszcze tęsknią tu wiekami
biją w sercach dzwonów

choć troska już nadeszła
a ręce wciąż wyciągnięte
opartych słupów i pali
i słowa ulatują w przeszłość

to ci sami ludzie
to ci sami ludzie z tej słupskiej ziemi
dziś lepsi
wpatrzeni w przyszłość kłamstw